„Głos Narodu" ilustrowany.

Listopad 1830 — Lipiec 1847 — Styczeń 1863.



Stanisław Berini,
ostatni żyjący »Czwartak« z 1831 r.

I. Ostatni oficerowie polscy z r. 1831.

Siedmdziesiąt jeden lat upłynęło od wybuchu zbrojnego powstania w Warszawie. Ten okres czasu jest tak wielki w zestawieniu z przeciętnym wiekiem ludzkim, że dowolnie na palcach już można policzyć żyjących jeszcze sędziwych uczestników walki listopadowej. Pragnąc uczcić jej siedmdziesiątą pierwszą rocznicę na kartach »Ilustracyi Polskiej«, podajemy w dzisiejszym numerze portrety dwóch ostatnich, zostających jeszcze przy życiu oficerów polskich z r. 1831: Teofila Osieckiego i Stanisława Beriniego.

Teofil Osiecki, zamieszkały od wielu lat w Nicei (rue de Rome 14), jest schodzącym z pola typem starego, polskiego rewolucyonisty, którego nie brakowało nigdzie, gdziekolwiek toczyła się walka o wolność. Urodzony w r. 1812, jako ośmnastoletni młodzieniec wziął udział w powstaniu 1831 roku, w randze podchorążego. Wyszedłszy z niedobitkami armii polskiej na obczyznę stawiał się odtąd pod sztandary rewolucyjne, ile razy wydarzyła się sposobność. W legionie polskim na Węgrzech pod komendą Bema walczył jako porucznik, następnie był kapitanem w sztabie jenerała Władysława Zamoyskiego w Turcyi, a nakoniec podpułkownikiem inżynieryi w sztabie Garibaldiego.

Starszy od niego o cztery lata, dziś 93-letni starzec, Stanisław Berini, jest to ostatni żyjący



Teofil Osiecki,
ostatni żyjący podchorąży z 1831 r.

Dodatek bezpłatny do „Głosu Narodu" z dnia 30 listopada 1901 roku.

żołnierz sławnego pułku czwartego, który okrył się niespożytą chwałą. Urodzony w r. 1808 w Słaboszowicach, w Sandomierskiem, wzięty został w r. 1828 jako zwykły żołnierz do wojska ówczesnego Królestwa polskiego i wcielony do drugiej kompanii czwartego pułku piechoty. W r. 1831, ranny dwukrotnie, przy wzięciu arsenału i przy zdobyciu Warszawy przez wojska rosyjskie, brał udział we wszystkich bitwach, jakie staczał pułk czwarty, a na polu bitwy pod Ostrołęką awansowany został na oficera. W dwa lata później, w r. 1833, Berini przy niefortunnej próbie wznowienia powstania ujęty z bronią w ręku podczas napadu na Józefów, gdzie wysłał pierwszy strzał do kozaków, dostał się do niewoli rosyjskiej i osądzony został przez sąd wojenny w Lublinie na dwa tysiące kijów i dożywotnią katorgę w gubernii Irkuckiej, za Bałkanem, gdzie przebył lat 28.

Po uwolnieniu z Syberyi powrócił do Warszawy, a następnie osiadł w Galicyi, gdzie w r. 1863, za udział w organizacyi narodowej odsiedział więzienie trzymiesięczne. Obecnie mieszka ten ostatni czwartak w Galicyi, w Gilowcach, poczta Rychwał, koło Żywca.

II. Na górze stracenia.

Patrz ryciny: Pomnik Teofila Wiśniowskiego i Wzgórze Teofila Wiśniowskiego we Lwowie.

Dnia 31 lipca 1847 r. w gmachu więziennym we Lwowie przy ulicy Batorego odczytano wyrok śmierci emisaryuszom: Teofilowi Wiśniowskiemu i Kapuścińskiemu. Wiśniowski wysłuchał straszliwego aktu z łagodnym, majestatycznym spokojem, towarzysz jego wyrzucił kilkanaście przekleństw, które przytłumił odgłos bębna. Poczem ulicami Lwowa, wśród śmiertelnej żałoby całego miasta, ruszył ponury kondukt ku wzgórzu kleparowskiemu, zwanemu w języku gminnym górą hyclowską. Skazanych oczekiwały tu już przygotowane dwie szubienice, otoczone silnym kordonem wojska. Egzekucya trwała krótko. Zwłoki męczenników, po zdjęciu z szubienic, wrzucono w wykopany umyślnie w tym celu rów, napełniony wapnem i spalono, a następnie pochowano opodal placu stracenia, w miejscu, którego dziś niepodobna dokładnie oznaczyć. Tego samego dnia całe wzgórze zasypane zostało kwiatami, a przez kilka dni z rzędu Lwów pielgrzymował tłumnie do niego, modląc się na grobie bohaterów.

I ten głęboki pietyzm dla pamięci Teofila Wiśniowskiego przeszedł drogę tradycyi na następne pokolenia i trwa dotąd. Rokrocznie 31 lipca błyskają światła lamp na wzgórzu kleparowskiem, cały jego obszar, od szczytu aż do podnóża, zazalegają nieprzeliczone rzesze i w niebo biją uroczyste tony hymnów narodowych. Lwów, który najmniejszy udział ponosi w dziejach męczeństwa polskiego, czci w tym dniu swoje największe święto narodowe. Przez długie lata zostawała góra hyclowska w fatalnem zaniedbaniu. Na wspólnym grobie bohaterów widniał duży, drewniany krzyż, a dokoła zarastały dzikie chwasty, wydeptywane tylko na chwilę przez doroczne pielgrzymki 31 lipca. Dopiero przed kilku laty komitet mieszczan lwowskich, z wiceprezydentem miasta, Michalskim, na czele, zajął się uporządkowaniem wzgórza. Przerżnięto je siecią wygodnych i starannie utrzymanych ścieżek i deptaków, oczyszczono, upiększono, poczem na samym szczycie, opodal krzyża, wzniesiono piękny pomnik, którego odsłonięcie odbyło się uroczyście, przy udziale reprezentacyi miasta, przedstawicieli prasy i stowarzyszeń lwowskich. To oficyalne usankcyonowanie miejsca stracenia zdjęło zarazem anatemę urzędową z pamięci bohaterów. Policya przestała przeszkadzać obchodom, a prokutatorya państwa konfiskować dzienniki za niewinne wzmianki o uroczystości. Teofil Wiśniowski, w pół wieku po swoim tragicznym zgonie, przestał nareszcie być niebezpiecznym.

Równocześnie w ustach lwowian znikła na zawsze, dawna, hańbiąca nazwa góry hyclowskiej, której miejsce zajęło »wzgórze Teofila Wiśniowskiego«.

III. Pod sztandarem z 1863 r.

Patrz ryciny: Dom inwalidów polskich, grupa weteranów z 1863 roku ze sztandarem, »Na szkołę ludową«).

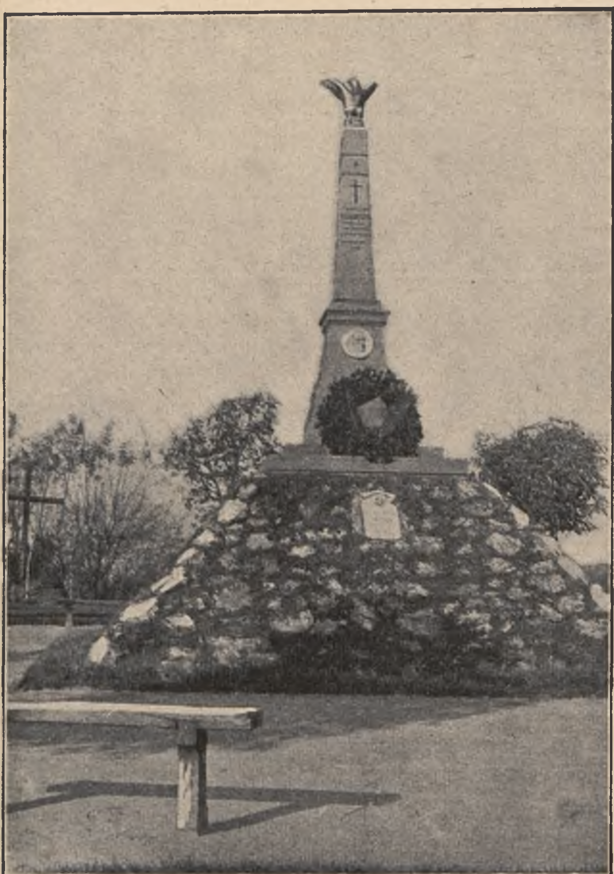
W dniu 28. października 1901 r. w niedzielę, po poświęceniu przez duchownego nowego ich schroniska, przy ulicy Biskupiej, znanego w mieście pod nazwą »Przytulisko uczestników powstania polskiego z lat 1863/64«, stanęło tych 18 starców w szeregu, pod rozpostartym nad nimi purpurowym sztandarem z Białym Orłem, aby w promieniach południowego słońca utrwalić swe rysy ku wiecznej pamięci młodszych pokoleń.

Lat temu 38 ci sami ludzie, tak samo stawali w szeregu, tak samo nad nimi powiewał z Orłem Białym sztandar, tylko naprzeciw nich zamiast jak teraz, aparatu fotograficznego, stały wyloty armat rosyjskich zionące kartaczami, stały naprzeciw nich roty czerni moskiewskiej i dzikich kozaków. A oni, młodzieńcy pełni życia i nadziei, nie rzadko posiadacze znacznych fortun, nie rzadko będący na drodze do najwspanialszej przyszłości, wyrzekli się tej nadziei i tej przyszłości, by krwią swą opłacić dług, jakiego zażądała od nich Ojczyzna. Tych razem tu przedstawionych 18 starców, to jedni z ostatnich bohaterów, którzy z Mierosławskim, Langiewiczem, Rochebrunem, Czachowskim, Śmiechowskim i innymi wodzami pod murami Miechowa, na polach Małogoszcza, Grochowisk i Staszowa, którzy w Górach Święto-Krzyskich, zdziałali, to, że przez nich mogła Polska:

»Tym nowym, orężnym protestem
Zawołać w dziejach nieśmiertelne: jestem!«

Za to, że w młodości wyrzekli się mienia swego i dobrobytu, za to, że życie swoje poświęcili dla idei niepodległości, za to, że dla tej idei cierpieliście katusze, rany, lody Sybiru i tułaczkę wśród obcych narodów, za to, że przez swój bohaterski poryw zyskaliście dla narodu szacunek świata cywilizowanego, naród czci Was i błogosławi, starcy. A że będąc narodem ubogim i jeszcze niewolnym, nie może Was tak uczcić, jak na to zasługujecie, to nie miejcie żalu do nas. Niech dni Wasze w tem skromnem »Przytulisku« płyną Wam spokojnie, i bądźcie przekonani, że ideałów, za które Wy walczyliście, myśmy się nie wyrzekli.

Cześć Wam i sława starcy!



Pomnik Teofila Wiśniowskiego we Lwowie.

»Przytulisko«, instytucya dobroczynna dla weteranów wojsk powstańczych z lat 1863/64 założone zostało w Krakowie za inicyatywą kilku patryotycznych obywateli. Nad schroniskiem czuwa Wydział z prezesem dyrektorem p. T. Kułakowskim na czele. Naturalnie nie trzeba tu dodawać, że z »Przytuliska« korzystają tylko własnego dachu pozbawieni starcy. Jest ich obecnie w schronieniu 22, czterech z powodu choroby nie zostało sportretowanych. Najmłodszy z nich liczy lat 57 wieku, dwaj najstarsi po 82 lat. Na członków »Przytuliska» można — należy się nawet! zapisywać w biurze weteranów, ulica Gołębia l. 5, gdyż bardzo wielu jeszcze żyje starców-powstańców pozbawionych własnego dachu, których krakowskie »Przytulisko« dla braku funduszów przytulić nie może.

Z. P.

Grosz na „Szkołę ludową"!

Patrz rycinę: Jan Makowski, kursor »Tow. Szkoły ludowej«.

Zna go cały Kraków. Rano, w południe i wieczór uwija się dzielny wiarus po całem mieście, zarówno widzieć go można w wspaniałych apartamentach »Secessyi«, jak w zakamarkach czwartorzędnych jadłodajni, gdzie brzęcząc swoją biało-czerwoną puszką blaszaną, woła niestrudzenie: »Grosz na Szkołę ludową«! I grosz ten płynie dosyć obficie, zasilając fundusz na budowę polskich szkół na kresach. Dużo w tem osobistej zasługi p. Jana Makowskiego, który zawsze umie zachęcić obywatela do takiej składki, zawsze zachowuje się z godnością — nierzadko dowcipnie. Raz u Hawełki zbliża się p. Makowski do stołu, gdzie kilku typowych obywateli wiejskich raczyło się węgrzynem. »Proszę o grosz na Szkołę ludową« — mówi dobitnie stary wiarus, zbliżając się do stołu węgrzynowych gości, na co jeden z obywateli odpowiada: »Nie dam nic, dośćby było tej żebraniny!« — »Przepraszam — odpowiada p. Makowski — »omyliłem się, myślałem, że pan dobrodziej jest Polak« i oddala się z godnością.



Wzgórze Teofila Wiśniowskiego we Lwowie.



Tomasz Zwierzyński lat 63. Józef Rabiński lat 70. Stanisław Miłkowski lat 60. Hipolit Ciechowski lat 82, Stefan Piech lat 82. Kazimierz Luty lat 75 Feliks Książny lat 57 Tadeusz Morże lat 62. Stanisław Antoszkiewicz lat 60.

Edward Gumpert lat 66. Ignacy Pawlikowski lat 71. Wawrzyniec Pędowski lat 65. Franciszek Seweryn lat 66. Jan Lutyk lat 61. Władysław d'Kielch lat 63. Franciszek Szydłowski lat 66. Ksawery Konopka lat 77. Ignacy Sułkowski lat 67.

Grupa weteranów polskich z r. 1863.

Tem obficiej posypały się datki z innych stołów i długo jeszcze brzęczała blaszana biało-czerwona puszka p. Makowskiego i długo jeszcze brzmiał jego głos donośny: »Grosz na Szkołę ludową«!

W ciągu dwóch lat zebrał datkami groszowymi p. Makowski około 8.000 koron.

O Morskie Oko.

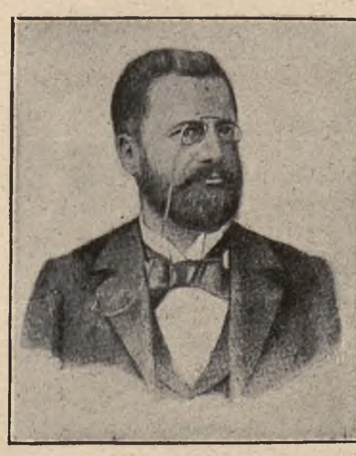
I.

Czy klęska jest nieunikniona?

Ilustracya Polska« odsłoniła w Nrze 2 smutny fakt, że rząd węgierski stworzył w sprawie o Morskie Oko nową sytuacyę, nową fintę prawną, nową trudność, dopuścił się nowego gwałtu. Osobną notą do p. Koerbera oznajmił p. Szell, z cyniczną pewnością siebie, że Węgrom przysługiwała używalność spornego terytoryum, że je zajęli i nie ustąpią. Poza sporem o własność i granice wytoczyli Węgrzy chytrze drugi spór zupełnie odmiennej natury prawnej, spór o używalność, i spór ten drugi odrazu samowolnie roztrzygnęli, zagarniając sporne terytoryum. Mamy więc odtąd nie jedną, ale dwie sprawy; położenie ogromnie się pogorszyło, a niejakie, słabe zabiegi, które z polskiej strony poczyniono, żadnego nie odniosły skutku. Gdyśmy ten smutny stan rzeczy odsłonili, rzucono nam właśnie piernik, i bielmo na oczy, żeby nas uśpić. Ogłoszono, że sprawa postępuje pomyślnie naprzód, gdyż mianowany został nareszcie superarbiter dla sądu polubownego. (Podajemy jego portret oraz portret arbitra ze strony austryackiej). Ogłoszono, że sąd odbędzie się w lipcu i dzienniki zapisały



Dr A. Mniszek-Tchórznicki.



Dr Emil Rott, superabiter w sporze o M. Oko.



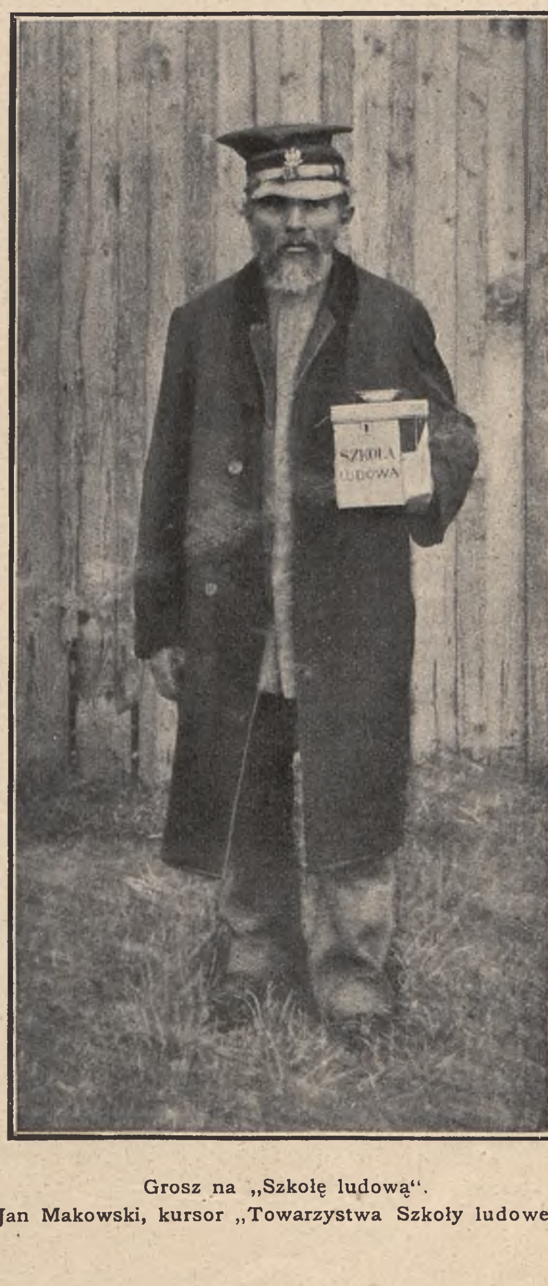
Nowo otwarty Dom Inwalidów Polskich w Krakowie.

tę zapowiedź — a Węgrzy dzierżą w swoich rękach sporne terytoryum.

Niewątpliwie jest możność zwołania i odbycia sądu krokiem naprzód, ale zapowiedź terminu zwołania i wyroku jest po prostu bańką mydlaną, złudzeniem. Trzeba przecież przedstawić sobie przebieg tego sądu. Zjazd sędziów na miejscu — to czynność wstępna, oryentacya. Ważniejszą czynnością jest badanie aktów sprawy od w. XVII począwszy. To już czynność bardzo trudna, żmudna i długa; większą część aktów trzeba tłomaczyć z polskiego, niemieckiego, węgierskiego, łacińskiego, na język francuski albo niemiecki; trzeba badać wszelakie mapy, potem arbitrowie muszą wypracować, każdy swoje, na aktach oparte przedstawienie sprawy i wnioski i przedłożyć je superarbitrowi; ten musi badać oba referaty i sam akta sprawdzić; potem rozpoczną się wspólne narady, żeby dojść do porozumienia, do kompromisu, co jest pierwszym celem sądu polubownego; gdyby zaś do kompromisu nie doszło, to wtedy musi superarbiter sam swój referat, motywa i wyrok wypracować, wreszcie muszą wszyscy trzej wyrok przyjąć. Ten cały przebieg normalny, gdyby się odbywał bez przerwy i bez przeszkody, gdyby wszyscy trzej sędziowie na jakie trzy miesiące w jednem miejscu się zjechali — w takim najlepszym razie potrzeba będzie co najmniej dwóch lat, żeby sąd nad sprawą zapanował i mógł ją załatwić — więc jakieś obiecanki sądu i wyroku w lecie przyszłego roku są wprost, powtarzamy, bańką mydlaną. Ale ponadto trzeba zważyć: że Węgrom się nie spieszy, że leży w ich interesie przewlekanie sprawy, że leży w ich interesie trwanie gwałtu, którego się dopuścili, że będą ciągle nowe wyszukiwać i dorzucać akta, że arbiter węgierski nie będzie się wysilał, ale zwlekał i wszelakie wynajdywał kruczki i przeszkody, że sędziowie mieszkają w wielkiem od siebie oddaleniu, że każdy ich zjazd wymagać będzie długich międzynarodowych pertraktacyj. Dalej trzeba zważyć, że ten lub ów sędzia może zachorować, a zastępców nie mają, że arbiter węgierski może znowu ustąpić, jak to już poprzednik jego uczynił, że wynikać z tych przyczyn będzie nietylko zwłoka, ale zupełny zastój sprawy. Jest to więc zdanie niezmiernie optymistyczne, jeżeli chcemy się spodziewać, że może za dwa lata sąd się odbędzie. Bodajby choć za trzy lata. Otóż tak, a nie inaczej, ma się rzecz z jeną stroną sprawy, ze sądem polubownym.

Ale czyliż spór i sąd co do własności i granic sprawę nawet po wyroku załatwia? Bynajmniej. Wyłożyliśmy już, że przybył spór i gwałt nowy, drugi, który zgoła pod sąd polubowny dotąd nie podpada. Przypuśćmy, że wyrok sądu, kiedyś, przyzna nam własność; czy przeto wygramy sprawę? Bynajmniej. I wtedy nie puściliby Węgrzy i Prusacy spornego terytoryum ze swoich szponów, bo wytoczyli właśnie na to fikcyę swojej używalności, żeby nawet po wyroku nie ustąpić. Wynika stąd, że oczekując na wyrok sądu, nie możemy rąk opuszczać, nie możemy godzić się z dokonanym gwałtem zaboru, choćby rzekomo tylko na używalność spornego terytoryum przez Węgrów i Prusaków, że bronić się dalej musimy: a dotąd, albo się nie bronimy, albo niedołężnie. Społeczeństwo wzburzone jest dotąd bezradne i bierne. Jeżeli klęski chce uniknąć, inaczej musi się bronić.

Obrona skuteczna, powszechna, nieustanna i niezłomna tem jest konieczniejszą, że sprawa nie lepiej, ale coraz gorzej stoi. Ostatnie wiadomości zapewniają, że austryackim żandarmom nakazano terytoryum sporne uważać jako węgierskie, w które



Grosz na „Szkołę ludową".
Jan Makowski, kursor „Towarzystwa Szkoły ludowej".



J. Zielonka. Kazimierz Skrzyński Wiceprezes Tow. Dziennikarzy. Bieńkowski. Michał Rolle.

REDAKCYA „GAZETY LWOWSKIEJ".

Koło polskie poruczyło sprawę pp. Danielakowi i Kozłowskiemu. Cóż ci panowie zdziałali, lub bodaj zamierzają? Nic nie wiadomo, a przecież zdaje się, że społeczeństwo ma prawo do tego, żeby było powiadomionem, jeżeli w ogóle coś się dzieje. Chyba, że nic się nie dzieje.

Dok. nast.

„Gazeta Lwowska".

W gronie prasy galicyjskiej zajmuje »Gazeta lwowska« stanowisko patryarchalne, jest bowiem najstarszem pismem codziennem w kraju. Urodziła się na początku ubiegłego stulecia, pamięcią sięga jeszcze czasów napoleońskich i niebawem dobiegnie dziewięćdziesiątki swojego spokojnego, niewstrząsanego żadnemi burzami żywota. Był czas, kiedy »Gazeta lwow.« sama jedna reprezentowała we Lwowie głos opinii dziennikarskiej. Z rozmnożeniem się pism innych zeszła na dalszy plan i był znowu czas taki, że byt jej wisiał na włosku. Z tej epoki zachowała się anegdotka o jowialnej odpowiedzi jej redaktora, który, zapytany przez jakiegoś dygnitarza w Wiedniu, jak się powodzi wydawnictwu, odrzekł: »Źle, trzecia część moich prenumeratorów wymarła«. »Trzecia część?« — zawołał przerażony dygnitarz, ależ to jakiś masowy pomór! Czyżby zaraza wybuchła w Galicyi?« »Nie — brzmiała odpowiedź — tylko z trzech moich prenumeratorów umarł jeden«. Obecnie »Gazeta lwowska«, której abonenci podskoczyli zresztą tymczasem do cyfry 5.000, nie potrzebuje się obawiać żadnych katastrof, bo jako organ rządowy kpi z wszelkiej konkurencyi i z całym spokojem spogląda na mnożący się dokoła niej zastęp dziennikarskich kolegów. Historya jej rozpada się na trzy okresy. Pierwszy i najdłuższy tyczy się małego, bezbarwnego pisemka, które mniej albo więcej wiernie i mniej albo więcej prymitywnie reprodukowało wypadki z wszelkiego świata. Drugi okres jest okresem Agenora Gołuchowskiego. »Gazeta lwowska« awansowała na organ oficyalny i stała się od stóp do głowy austryacką. Wyraz »Polska« wykreślony był z jej słownika. W trzecim okresie, zainaugurowanym przez Władysława Łozińskiego, »Polska« wróciła na jej szpalty, a »Gazeta lwowska« zamieniła się w pismo wcale ożywione i zbliżające się już do dzisiejszego typu. Redakcya Adama Krechowieckiego

im wkraczać nie wolno, chyba za zezwoleniem władz węgierskich!

Wiadomość ta jest tak potworną w swoim rodzaju, jak wyrok pruski w procesie wrzesińskim. W jakichże to warunkach znajdujemy się?!..

II.

Co uczyniono w ostatnich czasach z naszej strony w sprawie Morskiego Oka?

Towarzystwo przyjaciół Zakopanego, które zwołało wiec, nie uczyniło nic w celu wykonania uchwał wiecu. Skończyło się na słowach, na kiwaniu palcem w bucie.

Komisya nieustająca — (może nieistniejąca) nie uczyniła nic w celu wykonania uchwał wiecu. Wysłała ona swoją deputacyę do Wiednia. Wrócili deputowani i oznajmili, że są zadowoleni, bo rząd i Koło polskie o sprawie pamiętają. Warto było jeździć po taki rezultat. Pokazało się właśnie z rozkazu do żandarmów austr. jak to rząd pamięta! Ale może deputaci, dyplomaci, wiedzą coś, ale nie chcą powiedzieć. Bóg z nimi.

dokonała reszty. Urzędowa »Lembergerka«, oprócz kilku stronnic edyktów, konkursów i licytacyi, daje czytelnikowi dokładny przegląd życia politycznego w Polsce i w Europie, w osobnych, stałych rubrykach informuje o ruchu polskim w Królestwie, na Litwie i w Poznańskiem, daje staranne i obfite notatki z ruchu artystyczne go, świetne fejletony teatralne pióra redaktora, a nadewszystko znakomity fejleton powieściowy, w którym w ostatnich latach pojawili się »Krzyżacy« Sienkiewicza. Literatura stanowi wogóle tradycyjny dział w »Gazecie lwowskiej«. Niegdyś wychodziły przy niej sławne »Rozmaitości«, które przez długi szereg lat były jedynem w Galicyi pismem powieściowo-literackiem, a którego małe, charakterystyczne roczniki zżółkłe i butwiejące, błąkają się dotąd w domowych biblioteczkach. »Rozmaitości« znikły dawno z horyzontu, ale przy »Gazecie lwowskiej« powstało z czasem nowe pismo literacko-naukowe (»Przewodnik naukowo-literacki«), tym razem poważne, zajmujące wybitne stanowisko w polskiej prasie peryodycznej. Redaktor »Gazety« obwołany został jak wiadomo, »pierwszym dziennikarzem«, jako prezes Towarzystwa dzienikarskiego we Lwowie.



Nowy prezes Towarzystwa Dziennikarzy przy biurku redakcyjnem, Adam Krechowiecki, redaktor „Gazety Lwowskiej".

WŁADYSŁAW ST. REYMONT.

Z Pamiętnika panny Hali — jej „Pa" i „Ma"

Ciąg dalszy.

A pilzner wszędzie prosto z beczki, no wprost doskonały!

Próbowałem i krajowych piw, bardzo, bardzo możliwe.

Poznałem się z jednym bardzo porządnym demokratą. Wypiliśmy po dziesięć większych pilznera, ale nagadałem się, wyżaliłem i teraz wiem, co to znaczy ta tutejsza konstytucya!

A i te chłopaki, chociaż dekadenty, bardzo porządni, z przyszłością!...

Zakładają pismo dla prawdziwej oświaty inteligencyi! — Oświata! tak, to fundament, to opoka, tak... Wprawdzie oni mi wymyślali od filistrów, od mydlarzów... ale psiakość nóżki baranie, mydlarzem nie jestem; ja Jan Gwalbert pokazałem smykom, że jestem czujący obywatel i kocham społeczeństwo — zapłaciłem za nich kolacyę, zapłaciłem prenumeratę na dziesięć lat z góry! — Strasznieśmy się potem pokochali, psiakość nóżki baranie.

Muszę się streszczać, bo chciałbym przed wyjazdem uciąć małe śpi. —

Otóż: Niema kanalizacyi i wodociągów.

Bruki, oświetlenie, porządki, pod ostatnim starym dyabłem.

Domy brudne, odrapane, zanieczyszczone, że aż strach. Żeby to tak u nas, dałaby im policya takie nieporządki.

Podatki straszne, przerażające, nie do uwierzenia.

Ja, Jan Gwalbert, ja obywatel to mówię, że stanowczo za dużo hrabiów, za dużo ekscelencyi, za dużo posłów — za dużo stronnictw — Skończyłem.

Ale! Socyalistów stanowczo powinni skasować!

A co za marnotrawstwo, to zgroza! Miasto obdłużone, że ledwie procenta płaci, więc ciągle właścicielom podnosi podatki...

Za dużo stanowczo tych podatków od dodatkowych dodatków.

A mają planty i grubo płacą na ich utrzymanie! Gdzieby to u nas pozwoliło miasto, żeby tyle placu leżało bezużytecznie... pod ogrodami... Rozparcelować, wytknąć ulice, sprzedać... zabudować porządnemi kamienicami i pieniądze są, ruch jest, przemysł się podnosi, handel ma parę tysięcy nowych sklepów!...

To jest porządna, mądra gospodarka miejska, tak się u nas w Warszawie robi — a tutaj miliony się marnują i na co?... Ja, Jan Gwalbert pytam się na co? — Żeby na tych trawnikach psy się ganiały, a po alejach żeby sztubaki urządzali sobie schadzki z pensyonarkami? —

Tak, planty są niepożyteczne i niemoralne, bardzo niemoralne — Skończyłem!...

Nie, jeszcze słówko.

Raz jeszcze powiem, że za dużo hrabiów i żydów z pejsami!...

Psia kość nóżki baranie, co za wiele to niezdrowo. Pytam się w teatrze o tego i owego, co mi wpadł w oczy: Hrabia, powiadają; potrąciłem kogoś na ulicy. Bój się Boga, krzyczy mi w ucho — to ekscelencya!... U Hawełki zmierzam do stołu, gdzie siedział jakiś jegomość; niemożna, widzisz, to jenerał!... Idę do pustego stołu. Niemożna, zarezerwowane dla nadradcy...

Pasya mnie ogarnęła psiakość nóżki baranie, wściekła pasya, poszedłem do bufetu żeby się ochłodzić... Czekałem pół godziny na piwo. Dlaczego? Bo panowie posłowie musieli wpierw wypić!... a potem kandydaci na posłów, a potem znowu hrabiowie, znowu ekscelencye...

Jezus Marya, myślałem żem się urżnął, ale nie, Stokrotki siedziały przy mnie, no i wypiłem może wszystkiego z pięć większych... więc się pytam tego znajomego, demokraty, serdeczny człowiek — gdzież psiakość nóżki baranie, są u was zwyczajni, porządni, nie utytułowani ludzie?...

— Przeważnie w Wiśniczu i pod telegrafem, — odpowiada, to niby jakby u nas na Pawiaku.

— Ale i tam ekselencyi nie brakuje, dodał.

Konstytucya, wolność, doskonała rzecz, ale tyle hrabiów i trzy procent od kapitałów!... Bóg zapłać, wolę wrócić do Warszawy! —

Skończyłem, idę się przespać.

Dopisek »Ma«. — Kobieta-Chrześcianka, która często rozmawia z Nim — nie ma tak wiele do powiedzenia o świecie i światu.

Tak, Kraków jest piękny! Piękny przez swoje świątynie, przez zadziwiającą ilość różnego duchowieństwa!

Ale Kraków jest bardzo drogi! Byłam na targu, pytałam się o ceny, włosy mi powstały na głowie taka drożyzna. Całe szczęście, że ci biedacy mają tutaj tyle pociech religijnych, całe szczęście.

Opatrzność zawsze czuwa nad maluczkiemi.

A ludzie nie chcą wiedzieć tego! Ślepi i nieszczęśni!

Sklepy nieszczególne, ale niektóre materyały zadziwiająco tanie.

Nie wiele kupowałam, bo w Wiedniu podobno jeszcze taniej.

Nie, ja nie jestem obskurantką, ale ta siostra męża bardzo mi się nie podobała, wygłasza zasady, że wstydziłabym się ich powtórzyć. Dałabym głowę, że nie chodzi do spowiedzi!... Tak też jej Pan Bóg daje, że żyje prawie w nędzy!... Nie mam litości dla bezbożnych! Radziła mi, abym dla dokończenia edukacyi Hali, zostawiła ją w Krakowie!...

Naiwna z tą swoją krakowską edukacyą! Moja Hala jest skończona panna, przecież w Warszawie skończyła pierwszorzędną pensyę, doskonale gra na fortepianie, umie po francusku i niemiecku, i robi doskonałą partyę!...

Boże! muszę jeszcze przed wyjazdem dać Stokrotkom tych kropli kapucyńskich.

. . . .

Wiedeń 2 kwietnia.

Tutaj, w Wiedniu to już jest naprawdę zagranicą.

Takie wszystko inne, takie cudowne i takie rzeczywiście zagraniczne!

Miałam straszny katar, bo jechaliśmy nocą, zimno było, a ja tak chciałam widzieć tę zagranicę, że wciąż wyglądałam oknem.

Ale nic nie było widać i pociąg tak prędko leciał, że nie mogłam nigdzie kupić kart. Tylko na jakiejś stacyi, garsoni latali przed pociągiem i wołali *Szwarce kafe.*

U nas to nigdy tak nie wołają.

Tyle żydów jechało w tym pociągu, że już myślałam, że nie do Wiednia jedziemy!...

Ma się rozumieć, „Pa“ zaraz musiał zrobić z niemi awantury!...

No bo jakiś, taki gruby zdjął buty i siedział w sk... a potem zdjął palto... a potem kołnierzyk... naprawdę, ja myślałam, że on się zupełnie rozbierze.

„Pa“ go wyrzucił na korytarz i zrobił taki hałas, aż przyleciał konduktor, a Stokrotki poczciwe chciały go gryźć, ledwie je „Ma“ wstrzymała...

Konduktor kazał mu się ubrać; siedział potem, ale tak gadał, że tutaj jest Austrya, a nie Warszawa, że tutaj jest wolność, jest konstytucya, jest równość, a takich polskich szlachciców jak „Pa“ to uczą rozumu...

C. d. n.



Ign. Trepiński, kand. med. 2 miesiące więzienia. Leon Sumiński. aptekarz 3 tygodnie więzienia. Celestyn Rydlewski, lekarz prakt. 6 tygodni więzienia. Dr jur. Jan Kowalczyk 6 tygodni więzienia

Feliks Biały, kand. med. 6 tygodni więzienia. Wł. Bolewski, kand. med. 4 miesiące więzienia. Fr. Karas, referendaryusz 3 miesiące więzienia. Br. Szulczewski, kand. med. 1 miesiąc więzienia.

Bojownicy za najświętsze ideały polskości, skazani dnia 9-go listopada r. b. wyrokiem trybunału poznańskiego.

W kleszczach „sprawiedliwości“ pruskiej.

Dr Kazimierz Rakowski w więzieniu i jego przygody więzienne.

Ciąg dalszy.

Nie było co robić: widocznie popołudniu tu zachorować nie wolno.

Dozorca po przejściu rozmaitych korytarzy i krużganków zdał mnie w ręce jakiegoś urzędnika z siwą brodą, który — jak się domyśliłem — miał mi wyznaczyć celę. Zacząłem go prosić, aby mi dał celę wysoko, jak najwyżej, choć na czwartem piętrze, aby była sucha, gdyż cierpię na wysoce rozwinięty reumatyzm w połączeniu z wadą serca. Skinął poważnie głową i rzekł: »proszę za mną«. Pęk kluczy dzwonił w jego ręku jakimś, dla mnie przynajmniej — pogrzebowym dźwiękiem. Wymierzonym krokiem szedł naprzód. Byliśmy na niższym parterze. Pan z siwą brodą nie zdradzał zamiaru pójścia na piętro. Stanęliśmy przed drzwiami jakiejś celi. Po chwili drzwi się przedemną otwarły. Chciałem stawić opór, wywołać awanturę, spowodować interwencyę dyrekcyi więziennej, aby tylko uniknąć zamknięcia w parterowej celi, lecz dozorca mi rzekł: »Tu trzeba pozostać z godzinkę tylko, dopóki pańska cela nie będzie przygotowaną, i dopóki nie zagrzeje się woda w wannie« —

Zatrzasnął drzwi za sobą.

Więc mnie jeszcze wykąpią! — i to w wannie, w której zapewne przedemną kąpały się dziś setki brudnych, pozarażanych indywiduów. Głowa mi pękała z bólu, język przylepił się do podniebienia, spieczone wargi krwawiły. Co chwila opanowywała mnie gorączka febryczna.

W celi było ciemno. Przez umieszczone tuż pod sufitem zakratowane okienko, zasłonięte matową szybą, wpadał słaby odblask jakiejś umieszczonej w pobliżu latarni. Od ścian i od podłogi wiał przenikający chłód. Dotknąłem ręką posadzki — była asfaltowa, jedna z tych, które w sobie mieszczą zapasy skoncentrowanego zimna i chłodu w czasie najgorętszego lata, a cóż dopiero w połowie października!

Po maleńkiej klateczce chodziłem, aby miarowym ruchem zagłuszyć bezładne myśli. Co parę kroków — ściana; wreszcie ten ruch, polegający na zawracaniu co trzy, cztery kroki, podobnym się stał do obracania się w kółku, i doprowadzał głowę do zawrotu.

Upadłem, bezwładny, na stołek, pozbawiony poręczy i w pozie zupełnej prostracyi fizycznej, trzymając głowę niemal na kolanach, przebyłem tak czas jakiś — jak długo, nie wiem.

Do przytomności przyprowadził mnie chłód, który, jak zjadliwa trucizna opanowywał całe moje ciało i posuwał się od nóg coraz wyżej, coraz wyżej, ku piersiom. Kto cierpi na reumatyzm, ten zna dobrze ten postępujący powoli od dołu ku górze chłód zjadliwy i zabójczy.

Zbliżyłem się do drzwi, i zacząłem z całej siły uderzać w nie stołkiem, kolanami, pięściami. Nikt się nie pojawiał. Może to już noc, może ja mam tu nocować? Dreszcz mnie przeszedł nowy, i na nowo zacząłem uderzać we drzwi.

Zjawił się wreszcie jegomość z siwą brodą i otwierając celę, rzekł dobrodusznie: »Nie ma obawy, my tu o nikiem nie zapomnimy«.

To mówiąc, zaprowadził mnie do jakiejś ubikacyi. Spostrzegłem w głębi jednej z otwartych cel wannę. Byłem przerażony. Miałem febrę, mogłem dostać zapalenia płuc, tyfusu, Bóg wie czego. Mogłem się zarazić niewiem jaką epidemią — organizm mój nie posiadał najmniejszej siły odpornej.

Zacząłem błagać tego człowieka, aby mi darował tę kąpiel, lub aby ją odłożył do jutra, gdy mnie zbada lekarz. Był głuchy na moje prośby i protesty.

»Proszę być posłusznym, rzekł, — bo w razie przeciwnym cel karnych u nas nie zbraknie«.

Musiałem się rozebrać, a podczas, gdym pozostawał w bieliźnie, dwóch pomocników nadzorcy łapczywie się rzuciło na moje ubranie. Byłem pewien, że mnie zechcą ubrać w strój więzienny, lecz oni tylko z żarłocznością dzikich zwierząt, węszyli czy nie mam gdzie zaszytych pieniędzy, lub pierścionka, albo papierów.

Tymczasem udałem, że się kąpię, gdy zaś w istocie rzeczy tylko umyłem sobie nogi. Gdy pomocnicy dozorcy przeszukali moje ubranie i zwrócili się do mnie, zacząłem silnie się obcierać po mniemanej kąpieli, podczas gdy w rzeczywistości zanurzyłem tylko końce palców i nogi. Przyznaję, owszem, że zarówno woda, jak i wanna były czyściejsze jak sądziłem, ale niemniej wstrętu nie mogłem przezwyciężyć.

Po kąpieli, jakiemiś krętemi schodami, zaprowadzono mnie na drugie czy trzecie piętro. Tam otworzył nowy dozorca przedemną celę, na chwilę przyniósł światło, wskazał mi, że to »moje łóżko«, to jest mój dzban z wodą, to moja miednica, a to kubeł do zlewania brudnej wody i nieczystości. Powiedziałem mu, że żądam z lazaretu herbaty, lub kawy, albo mleka — wreszcie choćby gorącej wody, bo nic od wczoraj w ustach nie miałem, lecz on mi na to odrzekł, że jeśli mam jakie życzenia, to je powinienem meldować mu przy wstawaniu rano, — teraz zaś już nic do jedzenia dostać nie można. Zupa też już rozdana, więźniowie ją zjedli i śpią. To powiedziawszy, zamknął za sobą drzwi. Długą chwilę trwało, zanim pozamykał wszystkie zamki, kłódki, zatrzaski przy moich drzwiach. Czułem się zupełnie jakby zamknięty w żelaznej kasie ogniotrwałej.

Pozostałem sam — w ciemnościach — z prawdziwem piekłem w duszy, z gorączką w całym organiźmie.

Długą chwilę siedziałem na tapczanie w zupełnem wyczerpaniu i odrętwieniu. Przysłuchiwałem się z bezmyślną jakąś uwagą, jak silnie we mnie uderzało serce i puls. Utkwiwszy oczy w niejasne kontury stojącego naprzeciw tapczanu stolika, byłbym tak siedział pewnie do rana, bo jakieś drugie »ja«, przy najbliższem ocknieniu się myśli, powtarzało mi: »Daj spokój, nie myśl, w tej apatyi ci najlepiej«.

Lecz nagle jakiś ostry gios odezwał się odedrzwi: »Co to jest! Dawno już wybiła godzina spoczynku! Rozebrać się i do łóżka — siedzieć nie wolno!« To dozorca nocny, zajrzawszy przez szybkę, umieszczoną we drzwiach, dostrzegł, żem się nie położył.

»Nie wolno! — Ha, iluż to nowych rzeczy człowiek się dowiaduje! Nie wolno siedzieć na łóżku, na którem masz spać! — Trudno, trzeba zrobić, co każą, — jestem tu tylko numerem, niczem więcej, — bagażem, któremu przeznaczono pewną półkę do transportu«. — Tapczan z dziwną jakąś pościelą przejmował mnie wstrętem. Zdjąłem marynarkę i buty i położyłem się z obrzydzeniem na twardym sienniku.

Ten epizod wprowadził moje myśli znowu w zaczarowane koło przykrych tematów. Co powie matka, gdy z gazet się dowie o mojem uwięzieniu? Jak wybrnę z finansowych kłopotów, w które w jednej chwili mnie wtrąciło to aresztowanie? Co się stanie z filią wydawnictwa »Pracy«, którą urządziłem przed tygodniem w Krakowie? Czy moje zdrowie przetrwa i przetrzyma te wszystkie fizyczne i moralne męczarnie?

Sen nie zmrużył moich powiek, bo odemnie nie odstępowała przez całą noc posępna mara, ukazująca mi cały szereg nieznanych niebezpieczeństw.

Żebym przynajmniej wiedział, za co mnie aresztowali! Ale list gończy — co to ma znaczyć? Przeszukując w pamięci rozmaite moje artykuły i publikacye, nie znalazłem nic, coby się dało ująć w klamry kodeksu prasowego. Przypominałem sobie idyotyczną bajkę, którą kolportowały gazety niemieckie w lecie, że ja jestem niby autorem artykułów »Vestera« w Pracy: że je pisuje z polecenia hr. Gołuchowskiego. aby — osłabić trójprzymierze. A czyż ja wiem — może oni takim bredniom wierzą? Trójprzymierza nie kocham, to prawda, ale nie miałem zaszczytu nawet z daleka widzieć hr. Gołuchowskiego.

Przypomniałem sobie, że radca policyjny, który był obecny przy spisywaniu protokółu ze mną, oświadczył wyraźnie, że w śmieciach hotelowych odnalazł resztki jakichś listów. Nie powiedział wprawdzie, czy to były plany nowego jakiego aliansu politycznego, mającego zastąpić trójprzymierze, czy też rachunki hotelowe, ale sam fakt, że szukano w śmieciach, dał mi poznać, że w tych mózgach kiełkować musi jakaś dziwaczna myśl, a ja paść mogę ofiarą tych dziwactw i parę miesięcy siedzieć w śledztwie.

Tak przeszła część nocy. Zaledwie szarzeć poczęło i zaledwie moje okienko przepuszczać poczęło tyle światła, że można było rozróżnić kontury pojedynczych przedmiotów w celce, odęzwał się głośny, drażniący ucho, przeciągły głos dzwonka więztennego. W sąsiednich celach zrobił się ruch, po całym gmachu rozchodził się szum i szmer, jak w ulu. Wstałem więc, umyłem się i spojrzałem w okno: do wschodu słońca jeszcze było daleko, — jeszcze ani śladu słonecznego promienia nie było widać.

Była piąta i pół rano.

Po chwili otworzył drzwi dozorza, szybkiem spojrzeniem obrzucił całą celę, kazał mi za pomocą specyalnego drążka uchylić umieszczone u góry okienko, potem kazał mi zamieść izdebkę, zgarnąć śmieci na śmietniczkę, własnoręcznie wynieść kubeł z nieczystościami na korytarz, posłać łóżko, a wreszcie kredą i piaskiem wyczyścić blaszaną miedniczkę tak, aby się dobrze świeciła. Te wszystkie rozkazy wydał mi tonem ostrym, krótkim, nie dopuszczającym apelacyi. Zapisał sobie moje wnioski, dotyczące: 1) lekarza 2) napisanie listu do rodziny i do Biedermana 3) jedzenie na koszt własny.

Przejęty febrą i wynikłem z 36-godzinnego absolutnego postu osłabieniem, usiadłem na łóżku. Dozorca rzekł surowo: »W ciagu dnia ani kłaść się, ani siadać na łóżku nie wolno, a gdy w celi jest jaki urzędnik, proszę stanąć pod oknem, ręce opuścić i przez cały czas jego pobytu tak stać. Mówić nie wolno nic więcej, prócz tego, o co się kto z urzędników więziennych zapyta».

Dodam tu dla informacyi, że »urzędnik« ten przez cały czas — i wogóle później — przebywał w celi w czapce.

W pół godziny później zaczęto rozwozić zupę. W małym wózku ręcznym o jednej parze kół rozwozili pomocnicy dozorców w blaszanych wielkich kotłach zupę. Każdy więzień, gdy otworzą drzwi jego celi, staje na progu i podaje swą glinianą miskę, w którą mu z kotła nakładają warząchwią jedzenie.

Spróbowałem tego jedzenia z blaszanej łyżki, którą więźniom dają jako jedyny przybór do jedzenia: ale pomimo czczego żołądka i głodu nie mogłem przełknąć ani dwóch łyżek. Zupa więzienna składała się z rozgotowanych kartofli, pokrajanych w plasterki, z szatkowanej marchwi i okrasy w postaci łoju i kawałków skórki słoniny. Odrzuciwszy łój,



Mecenas poseł Dziembowski.



Mecenas Dr Woliński.

Obrońcy w procesie wrzesińskim. — Cześć im!

odcedziłem do blaszanego kubka płynną część zupy i zmusiłem się do wypicia tego płynu, ponieważ był gorący. Nie czułem żadnego smaku, zapewne w skutek febry. Chleba, którego kromkę więźniom dodają do każdej zupy, rano, na obiad i wieczorem, — naturalnie nie tknąłem. Był źle wypieczony, lepki i kleisty. Razowy chleb czarny bywa zdrowy i smaczny, ale nie taki.

Niebawem zawezwano mnie do doktora. Byłem przekonany, że mając do czynienia z akademicznie wykształconym człowiekiem, nie napotkam trudności w zapisaniu się do lazaretu. Sądzę. że sam widok mój, puls, szybkość uderzania serca i temperatura wystarczała aby umotywować natychmiastowe przyjęcie .

Ale gdzietam! Nic nie pomogło, żem mu zwrócił uwagę, kim jestem; że nie jestem skazany, lecz tylko w śledztwie i że mam skłonność do chorób płucnych, — wszystko to uznał, we wszystkiem jednak zastosował się do zdania felczera więziennego, który orzekł, że »niema w szpitalu miejsca«. Wytargowałem tylko tyle, że mi zapisał litr mleka gorącego na dzień. Więźniowie obecni na korytarzu, a oczekujący na swoją kolej u lekarza, przez otwarte drzwi słyszeli wynik mej rozmowy; gdym wychodził z kancelaryi lekarskiej, jeden z nich odezwał się, z zazdrością spoglądając na mnie: *Der hat gut abgeschniten!* (A to mu się udało!) Ten litr mleka to był wymarzony ideał każdego więźnia...

Inny więzień, od którego instynktownie się oddaliłem, był bowiem pokryty jakiemiś podejrzanemi plamami, rzekł: »Ja już trzeci raz melduję się do lazaretu i nie chcą mnie przyjąć: to jest niesłychane, aby ludzi chorych na kiłę, trzymano w celach!«

Wobec tego dziękowałem Bogu, żem się do lazaretu nie dostał, gdyż niewiadomo z kimbym się tam był zetknął, a w celi przynajmniej widziałem, że wszystko było czyste, a ja sam jeden.

O dziesiątej przedpołudniem wywołano wszystkich więźniów z mego oddziału na korytarz, a raczej na ganek, z którego schodami żelaznymi schodziło się kilka pięter nadół. W odpowiednich odstępach pod wodzą dozorcy skierowali się więźniowie na dziedziniec, mający formę trójkąta.

Po tym dziedzińcu spacerowaliśmy pół godziny. Przyjrzałem się swym towarzyszom. Mogłem się zaliczyć do arystokracyi więziennej. Oprócz mnie bowiem tylko jeden jeszcze więzień z pomiędzy trzydziestu kilku w całym oddziale — miał własne ubranie. Jak się dowiedziałem później, był to słynny złodziej hotelowy.

Wracając do swej celi obejrzałem sobie dokładnie więzienie, o ile je naturalnie mogłem dobrze widzieć. Wewnątrz przedstawia się ono w formie krzyża różnoramiennego, a pojedyncze ramiona stanowią oddzielne budynki więzienne, połączone ze sobą wewnętrzną wielką halą, w której środku stoi olbrzymia maszyna dynamoelektryczna Każdy z tych czterech budynków zbudowany jest w ten sposób, że środkiem biegnie szeroki, wysoki na cztery piętra korytarz z oszklonym dachem, a po obu stronach mieszczą się w czteropiętrowych szeregach cele. Dostęp do nich ułatwiony jest przez schody kręte żelazne, które prowadzą do zawieszonego przy każdem piętrze żelaznego ganku lub balustrady z poręczą. Gdyby tak te żelazne galeryjki, oparte na krokszty nach żelaznych, runęły, do cel wcaleby się dostać nie było można.

Cela (wszystkie są jednakowe) ma dwa kroki szerokości, a pięć długości. Umeblowanie ich stanowią po lewej stronie od wejścia: kubeł z pokrywą żelazną; żelazne maleńkie i wąskie łóżeczko; półka drewniana, na której się mieszczą u góry: miednica, kubek do wody i dzbanek z wodą, w przegrodzie górnej solniczka, łyżka i szczotka, w przegrodzie dolnej miska do jadła. U dołu zaś na gwoździu wisi ręcznik, szufelka do śmieci i zamiataczka

Wprost drzwi mamy okno, zakratowane sześciu żelaznemi sztabami, po prawej zaś stronie tej kajuty, najbliżej okna, stołek bez poręczy, dalej stolik, a wreszcie przy drzwiach maleńki kaloryfer, ogrzewający izdebkę.

Ściany białe, pociągnięte wapnem; najlżejsze dotknięcie się ściany pozostawia ślady na ścianie i na ubraniu. »Meble« stoją w odległości 10 cali od ściany, przestawiać ich zaś nie wolno. Drzwi, zajmujące więcej, niż połowę izdebki, są z żelaza, pokryte grubym, stalowym pancerzem. Zamykają się automatycznie na zatrzask, przylegają zaś tak szczelnie do futryn, że w korytarzu nie słychać najmniejszego szmeru, choćby więzień krzyczał, płakał, pukał. Dźwięk zato udziela się za pośrednictwem scian pomięozy celami, bardzo cienkich i łatwo przepuszczających głos ludzki.

Około godziny 12 w południe więźniowie dostają zupę, t. j. obiad. Zupa ta różni się od porannej tylko tem, że jest gęstsza. Zjadłem parę łyżek i zapytałem dozorcę o mleko, które mi przepisał lekarz. Dozorca odrzekł, że to musi przejść zwykłą drogę przez kilka instancyj i »zapewne pojutrze«

mleko otrzymam. To samo i z pożywieniem na koszt własny.

Byłem nad wszelki wyraz przybity tem oświadczeniem. Chwilami opanowywała mnie wprost rozpacz; raczej jakieś podejrzenie, że ci wszyscy ludzie mają w obec mnie tajemną instrukcyę, aby mnie zagłodzić, zniszczyć fizycznie i moralnie. Po celce nawet chodzić nie było można dla braku miejsca. Od ciągłego siedzenia bolały mnie krzyże. Położyć się na łóżku — nie wolno.

Wtem usłyszałem wyraźne, miarowe pukanie do mojej ściany z prawej strony. Zbliżyłem się do miejsca, skąd pochodziło pukanie i zastanawiam się, czego chcieć odemnie może mój sąsiad. On znowu puka — z przestankami — raz, dwa, trzy. To się powtarza kilkakrotnie. Wreszcie zniecierpliwiony tem, że nie mogę się domyśleć, na chybił trafił kilkakrotnie i ja też pukam, mniej więcej tak, jak osoby nie umiejące telegrafować pukają na aparacie, starając się zachować rozmaitość w uderzeniach. Ledwie com jednak zapukał, aż tu słyszę głos i urywane słowa, których jednak zrozumieć nie mogę. Dopiero przyłożywszy ucho do ściany wyraźnie rozróżniam słowa: »Coś pan za jeden?«

Takie pytanie trochę mnie zirytowało. Przecież jakiemuś tam oszustowi nie będę tłomaczył, że jestem polskim publicystą, którego rząd pruski więzi za to, że jest współpracownikiem wrogiego Prusom pisma. Aby więc dać wyraz mej niechęci, odpowiadam memu sąsiadowi: *Bin ein verkrachter Bankdirector*. Myślę sobie — niech tam Niemiec napoi się antypatyą przeciw pruskiej gospodarce finansowej.

Ale on mi się w odpowiedzi na to przedstawił, jako czternastoletni chłopak z domu poprawczego; opowiadać mi począł masę interesujących rzeczy, o wszystkiem wiedział, na wszystko miał odpowiedź — więc mu potem rzetelnie opowiedziałem moje losy. Pocieszał mnie, jak mógł, zapoznał mnie z całem »towarzystwem« z dołu, z lewej strony, z prawej strony i z przeciwka. Rozmawialiśmy nieraz całemi godzinami. Obiecał mi, że gdy będziemy na wolności obaj, to mnie odwiedzi. Ale pytał, jaki mój adres i nazwisko. Nazwiska mu nie chciałem powiedzieć, ale poradziłem, aby się gdziekolwiek zapytał o adres tego redaktora polskiego, który siedział we Wrocławiu w więzieniu, to mu już moi rodacy wskażą.

»Tego nie zrobię«, rzekł do mnie.

»Dlaczego?« pytam.

»Bo przecież nie mogę wydać pana, że pan siedział w więzieniu«.

»Ależ owszem, miły chłopczyku — odpowiadam — nie żenuj się wcale, stań nawet na rynku i opowiadaj ludziom wszystko. To dla mnie zaszczyt — to więzienie pruskie«.

Długo trwało, zanim zrozumiał, o co chodzi. Wreszcie rzekł:

»Więc po stronie pańskiej przeciwko pruskim władzom jest cały pański naród? *Wunderbar!*«

Dok. nast.

ANTONI MAŁECKI.

Senator współczesnej umysłowości polskiej, nestor jej osiwiały w trudzie i zasługach, święci ośmdziesiątą rocznicę urodzin.

Antoni Małecki, syn Wielkopolski, zapisał się w księdze ducha naszego XIX. wieku złotemi, niezatartemi zgłoskami. Umysł wielostronny zadziwia mnogością i jakością prac swoich. Poważny pisarz sceniczny, który obdarzył teatr takiemi sztukami, jak »List żelazny« i utrzymujący się blisko pół wieku na repertoarze »Wieniec grochowy«, równocześnie jest głębokim badaczem-lingwistą, który pierwszy dał naukowe podstawy gramatyce polskiej i zostawił w tym kierunku dzieła pomnikowe; przejęty duchem klasycznym, tłómacz Sofoklesa, autor wzorowych wykładów o filozofii starożytnych, wżył się pierwszy w duszę najbardziej współczesnego, najkapryśniejszego i najeteryczniejszego z poetów naszych — Juliusza; równocześnie przebija wzrok jego ciemnie naszej przeszłości narodowej i daje nam głębokie badania o początku Lechitów...



Antoni Małecki.

A prac tych dokonywa w trudzie istotnie niemałym, który wymaga nie pracownika dzielnego i sumiennego, lecz indywidualności wybitnej, o silnym a harmonijnym charakterze, umiejącym wśród burz i przeciwności stać jak opoka przy tem, co serce i rozum nakazuje. Rozpocząwszy swą działalność profesorską za czasów najgorszej reakcyi w Austryi, kilkakrotnie ofiara jej ducha policyjnego i anti-polskiego, przerzucany z miejsca na miejsce, od swoich między obcych, umiał wytrwałą siłą i konsekwentnem obstawaniem przy prawach narodowych torować drogę idei polskiej i niemało się przyczynił do zatryumfowania jej na naszych wszechnicach.

Dzisiaj ośmdziesięcioletni starzec, sędziwy wiekiem, ale nie duchem, przoduje jeszcze niejednej pracy obywatelskiej, nad niejednem pracuje dziełem. Ze szkoły jego setki uczniów prowadzą rozpoczęte przez niego badania, prace jego lingwistyczne i historyczne — to fundament, na którym niejedna jeszcze generacya wiedzę swą stawiać będzie, a klasyczny jego żywot Słowackiego jest i na długo pozostanie najlepszem opracowaniem pełnem miłości w pojęciu, subtelności w analizie, przenikliwości w badawczości, jakie mamy o wielkim twórcy »Króla - Ducha«...

Wraz z całem społeczeństwem cześć mu też dzisiaj niesiemy i hołd serdeczny...



Fig. 1. Ronggengs, małe tancerki jawańskie.
Ze zbiorów prof. Raciborskiego w Dublanach)

Jawański »Wajang«
w Dublanach.

(Fotogr. ze zbiorów prof. Raciborskiego).

Widziałem rzecz nie codzienną.

Widziałem basen napełniony wodą, pokrytą pleśnią, przez którą przedzierały się lilie, a z ich białego podłoża wyrastał lotus!

Czy uwierzycie?

Lotus, kwiat Kryszny i Ellory!

Wypukłe jego liście srebrzyły się wilgotnym i jasnym puchem. Strugi fontanny rozbijały się o nie na mieniące się w słońcu perły i spływały w głąb... Jak gdyby lotus łzy zbierał...

Widziałem wężowe sploty lian wpijających się w drzewa — pnie smukłych paproci i palm i gdyby dusza moja miała więcej fantazyi, ujrzałbym jej oczami *Djogêdy* ubrane w barwne tkaniny Sarongu i wykonujące rytmiczny taniec szczęścia, wśród tych ścian zasłanych malajskim przepychem kabaji, łuków, strzał...

Każdy najmniejszy przedmiot odkrywany niespodziewanie gdzieś wśród makat i książek, mówił o innym, nieznanym mi świecie, przepojonym żarem słońca, granatem nieba i cywilizacyą starszą niż pamięć ludzka...

I nie palmy słaniały się ku oknom tego domu — lecz lipy i brzozy a po polach roznuwały się srebrne przędziwa jesieni, mimo to rozbudziła się we mnie niepamięć otoczenia i przeniosła na skrzydłach myśli do zwrotnikowej kolebki *Pregivy*... do przybranej ojczyzny Edwarda Dekkera... Jawy.

Tak. Żyłem przez 8 godzin na Jawie . . .

. . . .

W miękki pień bambusu zatoczony przed werandę wbito kilkanaście *Wajang Kulit* (fig. 2).

Miały one zastąpić aktorów, (Topeng) których *Dalang* zachował na dzień następny. Stały one przed nami... bezduszne lalki wykrojone ręką mistrza ze skóry bawolej, przeświecając ażurem deseni i złotem zdobiącem ich stroje.

Po prawej, książęta i bogowie, po lewej, motłoch.

Ustawiono wreszcie *Pagunungan* na znak, że wszystko gotowe.

Bohater Pregiwy poruszył się z lekka.

Z głębi szedł metaliczny zawodzący głos Dalanga*):

»Oto przechodzi drużyna *Poptia Wali* przez kwieciem strojną drogę i prowadzi młodą parę do ich domu. *Pregivati* opiera się zalotnie o ramię kochanka. Struny *Tjalempungu* dzwonią srebrzystą pieśń wesela. W okół wiosna, która jest wieczną, i szczęście. Lecz za tym pochodem świątecznym kroczy zły duch *Leksmana*.

*) Recytator wprawiający w ruch maryonetki i opowiadający treść dramatu.



Fig. 2. Wajang-Kulit czyli maryonetki jawańskie.

Piekło nosi w sercu ból i rozpacz. Bo i on kochał *Pregivati*. Kochał jej aksamitne oczy gazelli i dłonie miększe od puchu i bardziej niż lśnienie tarczy brązowe. Za małżonkami zasuwają kotary obok spoczywa głębokim już snem złożona druga para *Galoet-Katja* i *Pregiva*... Cisza... słychać tylko lekkie jak u tygrysa kroki. *Leksmana* się zbliża. Zemsta go upaja. Spostrzega kindżał — wyrywa go z pochwy i uchyla kotarę.

Tabang (Tamburyn) jęczy żałośnie a nocne ptaki trzepoczą ciężko skrzydłami i kwilą: kolik — tekak — toehoe — tuhu! Oręż błyska w powietrzu i zatapia się w szyi rywala. Krew sączy się z rany i plami dziewicze szaty oblubienicy.

Rozpaczmy krzyk ofiary budzi cały dom. Nadchodzą: matka *Ratoe* i siostry, a za niemi *Joedi-Stira*.

Przekonawszy się o śmierci *Poptia-Wali* postanawiają umrzeć razem »bo *Pendawa* nie umiera nigdy sam«...

Tak skończyła się pierwsza pieśń dramatu.

W biały zawój odziana, wychyla się znajoma głowa *Dalanga*, który dziękuje uśmiechem za oklaski.

Za chwilę wstrząśnie nową opowieścią duszę.

Lecz ciche, jak szmer fali tony *Gamelangu* przerywają zadumę nad losami kochanków, rozdzielonych zbrodniczą ręką *Leksmany*. Na widowni ukazują się *Ronggengs* (patrz fotogr. 1).

Och! boskie, maleńkie *Ronggengs!*

Oczy ich głębokie jak kratery wulkanów, spoglądają poważnie na księcia. Przed nim będą tańczyły. *Slendang* powiewa im w rękach, srebrne ich napierśniki dzwonią i jedwabne zasłony szeleszczą. *Ronggengs* tańczą. A wiatr przesycony wonią akacyi i teaku chłodzi ich czoła.

Dzisiaj jest trzeci dzień, drugiego miesiąca — święto bogów i literatury! (O Jawo!). Więc dalej toczy się zabawa.

Książę skinął.

I rozsuwa się zasłona purpurą tkana i złotem.

Czarne, nieruchome szeregi Jawanów stają w półkolu. Dziryty mienią się w słońcu. W cieniu palm ukrywa się klatka. Donośny, akordami pustyni rozdrgany ryk rozlega się w powietrzu.

Nikt nie patrzy już na wynędzniałe ciała lutnistów czekających na *Tandak*, tańczony przez rzezańców...

Tłum dyszy ze wzruszenia i nie odrywa ócz od słońcem zalanego tarasu — gdzie rozegra się walka. Tygrys z bawołem pójdą w zawody. Tygrys to europejczyk, poczciwy bawoł — jawajczyk.

Ciemnookie *Ladies* liczą w myśli zakłady.

Półkola dzirytów rozszerzają się, tworząc linię prostą. Tygrysa wypuszczono z klatki. Nawet książę powstał... Nad skłębionemi cielskami wrogów rozpina się cisza tak wielka, że słychać lot skrzydeł motylich... Jedna z *Ronggengs* rozpłakała się z trwogi...

* *
*

A działo się to wszystko dnia wczorajszego.

Kassi api — podaj mi ogień niewolniku! Niech zapalę najprawdziwsze *Tambako kadu* i zapomnę o ojczystej szarudze. Działo się dnia wczorajszego. Nie w *Sukabumi* ani w *Tjandur*, lecz o milę od Lwowa... w Dublanach...



Fig. 3. Tandak, taniec jawański, tańczony przez rzezańców.
(Ze zbiorów prof. Raciborskiego w Dublanach).



Jawanka z Djokje.
(Ze zbiorów prof. Raciborskiego).

Działo się w wyobraźni mojej.

Rozłożyliśmy się wygodnie w fotelach. Profesor Raciborski i ja. On odpowiadał — ja słuchałem. Czarna kawa stała obok, a z *Tambako* wysnuwały się subtelne, liliowe wstęgi dymu i szły ku słońcu, które zachodziło.

Padło jedno słowo, drugie, trzecie, aż w końcu zaczęły się przesuwać przed oczami memi szeregi obrazów, wspomnień związanych z Jawą, zwyczajów i szkiców ulotnych, tak barwnych i żywych jak rzeczywistość...

Kobiety Malajskie są piękne i ciche. Domu pilnują i tkactwa. Nie chodzą na wykłady uniwersytetów ludowych a indywidualizm ich polega na pielęgnowaniu męża i pana.

Świątynie Jawy piękniejsze są od świątyni Meksyku i Indyi...

Dramat ma w sobie pieśni nad pieśniami wspaniałe i potężne...

A Multatuli?*)

Był czas, w którym począwszy od *Tjaringin* aż do *Banjuwangi* nie mówiono o niczem innem, jak o Maksie Havelaar. W tym kraju rozbudzonym do życia bez jutra, przez słońce ziejące ustawicznym ogniem, gdzie siła walczy z siłą i nie ma litości dla słabych, Multatuli roztworzył poprostu okna na głębie ducha i wskazał Jawajskim europejczykom inne, nowe drogi nad te, po których dotąd dążyli. W samych początkach ukazania się dzieł Multatulego, wierzono mu bezwzględnie. Poczęto nienawidzieć »kraj rozbójników, leżących nad morzem«. Dopiero w roku 1899 wydano w *Djokje* wszystkie papiery urzędowe, będące jego własnemi relacyami pisanemi z rezydencyi w *Bantam*, które stwierdzają, że w postępowaniu z krajowcami i rezydentami nie okazał dość sprytu politycznego i taktu i to spowodowało jego upadek.

Niespokojny, twórczy umysł Havelaara nie umiał się nagiąć pod jarzmo biurokratyzmu rządowego i wytwarzał nieraz takie sytuacye, które prowadziły wprost do rewolucyi i buntu. W szcząwszy w końcu z własnej winy zatarg z rezydentem i ministrem, sam chciał odejść i odszedł... Lecz mimo to, że mu ta publikacya zdjęła cierniową koronę męczeństwa z głowy, pozostał Multatuli najbardziej poczytnym pisarzem na Jawie.

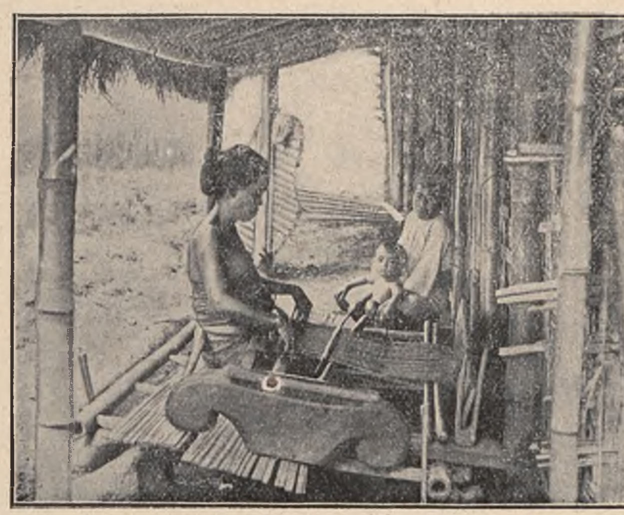
Kończę po malajsku.

Svedah!

Dość tego.

Alfred Wysocki.

*) Multatuli (pseudonim utworzony ze słów łacińskich: *multa tuli* = wiele cierpiałem) jest to pseudonim Edwarda Dekkera, wysoce oryginalnego pisarza holenderskiego, któ»ego dzisiaj tłómaczą na wszystkie języki, a którego książka: »Max Havelaar czyli Holendrzy na wyspie Jawie«, swego czasu ogromne wywarła wrażenie. Śmiałe poglądy Multatulego ściągnęły nań niechęć sfer wpływowych w Holandyi.



Przędzalnia jawańska.

W ruinach.

Ruiny i ruiny! Kędy zwrócić oko:
Wał gruzów i rumowisk. Baszty i kolumny,
Po których pieśń się wije i po których szumny
Wichr się włóczy, śpią tęskniąc za dawną epoką

Blasku, sławy i słońca. Zrównany z opoką,
Na której stał wyniosły, poważny i dumny,
Zamek leży dziś w gruzach, jeno owe trumny,
Śniące od lat szeregu pod nim, hen, głęboko,

Świadczą o jego chwale. Lecz choć burze starły
Świetne niegdyś zamczysko, pamięć o niem w pieśni
Żyje wciąż, tak, jak żyją w uściech ludu czyny

Jego panów. Dziś patrząc na ten świat umarły,
Widzi się jego przeszłość, chce się wołać: „Wskrześnij!"
Lecz w krąg jeno ruiny, ruiny, ruiny...

Józef Wiśniowski



Ujeżdżalnia pod Kapucynami w Krakowie, gdzie odbywały się przedstawienia teatru ludowego.

SPORT.

DLA MYŚLIWYCH.

Na szaraka.

Manet sub Jove frigido
Venator tenerae conjugis immemor

śpiewał Horacy. Choć więc na polu zimno, choć czuła żona w domu czeka — strzelba na plecy i jazda na polowanie.

Jeżeli w innych prowincyach Austryi lub w ogóle zagranicą, odbywają się polowania w celu zysku i stanowią dochód gospodarstwa, to u nas w Galicyi, z małemi wyjątkami poluje się dla przyjemności — poluje się, bo w nas tkwi myśliwska żyłka. Grubej zwierzyny w kraju naszym mało, mniejszej wprawdzie także nie dużo, ale choć dawniej polski myśliwy ...»nie wziąłby do ręki strzelby, którą zhańbiono, sypiąc w nią śrut cienki«, my dziś dzierżymy taką zhańbioną broń i polujemy przeważnie na zające. Z całego szeregu sposobów zdobycia szaraka najprzyjemniejszem jest polowanie z gończemi i w t. zw. kociołki. Kiedy polując z gończemi, trzeba być nie tylko strzelcem ale i myśliwym, zrozumieć gon, umieć zabiec zwierzynie — spotkać się z nią, strzelić i położyć, to polowanie w kociołki, ustawicznie zajmuje myśliwego, bo albo sam strzela, albo widzi strzały innych. A jeżeli w dodatku znajdzie się w zamkniętym kociołku lis i w srogich opałach wszystkich swych kunsztów, a forteli używa, by wyjść z matni, to i zabawa szczytu dosięga.

Z opowiadań jednego, z starych i doświadczonych myśliwych, dowiedziałem się kilku »sposobów«, a że światła nie trzeba nigdy kryć pod korcem więc się niemi dzielę.

Najwięcej zajęcy spotyka się w polu w pierwszych dniach pogody, po długotrwałym deszczu i podczas takiego deszczu, bo zając nie lubi (w ogóle nikt zdaje się nie lubi) ciągłego kapania deszczowych kropel z drzew i liści. Opad liści nie wystrasza szaraka z lasu, jak ogólnie twierdzą myśliwi. Opowieść o tem powstała prawdopodobnie stąd, że w październiku i listopadzie, gdy liście lecą z drzew, najwięcej bywa deszczów. Liście zresztą nie opadają na raz, a lecąc jeden po drugim, zbytniego hałasu nie czynią. Inna rzecz, jeżeli po przymrozku silny wiatr masy liści naraz zrzuca, wtedy wierzę, że to zająca straszy — tak samo, gdy kiście śniegu, po odwilży, a zwłaszcza po deszczu, z drzew spadają.



St. Knake-Zawadzki,
inicyator i kierownik teatru ludowego w Krakowie.

Dobrze jest urządzać polowanie po polowaniu u sąsiada, bo wtedy, zwłaszcza, jeżeli słońce przygrzewa, wystraszone z sąsiedniego rewiru zające, dobrze dosiadują. Kto na terenie swym ma lasy, a chce mieć na polach zające, niech rankiem przed polowaniem, pośle ze 30 ludzi nagonki i psy do lasu. Jeżeli ta, z natury wrzaskliwa banda, głośno przejdzie przez las lub rewir, w którym się nie poluje, to można być pewnym, że tam ledwie kilka szaraków pozostanie, reszta wyniesie się na pola. – Dobrze jest, jeżeli urządzający polowanie przejedzie się przed »dniem rozprawy« na koniu i zbadawszy, gdzie najwięcej zajęcy, w tę stronę polowanie skieruje.

A teraz rzecz najważniejszą. Brałem udział w wielu polowaniach, ale zaledwie w dwóch lub trzech miejscach przestrzegano porządku. Zawsze były luki w linii, zawsze brano mioty nie równo i z znaczną stratą czasu i zawsze znaczna ilość zajęcy wymykała się bez strzału. Przy tym rodzaju polowania należy z reguły wybrać kierującego, oznaczyć ludzi z nagonki numerami, ustalić kto ma prowadzić lewe, a kto prawe skrzydło i urządzić rzecz tak, żeby odległość od strzelca do strzelca nie wynosiła więcej, nad 50 do 60 kroków. Jest to najlepsza odległość do strzału — bliższe, obrzydliwie kaleczą — przy dalszych bardzo często zając, z jednym śrutem idzie w świat i ginie bez użytku. Podczas zachodzenia, nigdy nie trzeba przystawać, ani przysiadać (tak się dzieje), żeby nie spłoszyć zająca, to śmieszne i zwraca uwagę zwierzyny. W głąb kotła wolno strzelać tylko przy zachodzeniu, gdy przeciwne skrzydło jeszcze nie zaszło, po sygnale oznaczającym zamknięcie, każdy strzał w głąb kotła powinien być karany. Stara to rzecz jak świat ta reguła: mimo to często się jej nie przestrzega. Zdarzy się (u nas niestety rzecz rzadka), że naraz dwa zające się wyrwą, wtedy trzeba strzelać do dalszego, żeby mieć czas do dublowania.

W końcu nie mogę pominąć jednej nauki, którą sam otrzymałem w początku mej karyery myśliwskiej. Oto ona, niech idzie w świat i służy młodym Nemrodom. Chcesz zabić zająca — uczył mnie jeden z myśliwych — musisz go wyszukać, skierować ku niemu lufę, głęboko westchnąć do św. Huberta i do swojego patrona albo naodwrót, pociągnąć za właściwy cyngiel i... brzdęc — trrym — a reszta jak Bóg zdarzy, tylko pilnuj, żeby ci nie zaśpiewano

Podsypał nie nabił,
Wystrzelił nie zabił. *Eska.*

Pogrzebany żywcem teatr ludowy.

Podajemy portret inicyatora teatru ludowego, znakomitego artysty St. Knake-Zawadzkiego i widok gmachu Ujeżdżalni. Teatr ludowy został niestety żywcem pogrzebany — bo chyba nikt, prócz jednego architekty, nie bierze na seryo humbugu z budową nowego teatru! Mamy jednak nadzieję, że nowa Rada Miejska wskrzesi pożyteczną instytucyę do życia i udzieli p. Zawadzkiemu zasłużonego poparcia.

Nakładem Redakcyi »Głosu Narodu«. W Drukarni »Czasu« w Krakowie.